

Moje miasto

Paryż, tyle już o nim wiem!

Moje najskrytsze marzenie to oprowadzać po nim wycieczki. Z realizacją poprzedniego pomógł mi synek, zawsze był taki zdolny... Niestety, bardzo się zaokrąglił ostatnimi laty, szczególnie na twarzy. Ale za to jaki z niego syn! Sama sobie zazdroszczę, że tak mi się udało.

Wiedział, że marzyłam, by zamieszkać w Paryżu. Trzy lata temu kupił mi maleńkie mieszkanie. Co prawda już za bulwarem Peryferyjnym i dzielnica nie należy do najspokojniejszych, ale przecież nie wybrzydza. To jednak wciąż Paryż! Straszne pieniądze kosztowało to mieszkanie. Syn nie powiedział ile, ale mogę sobie wyobrazić.

Mieszkam tutaj od października do kwietnia, a potem wyjeżdżam do domu, przecież nie mogę zostawić ogrodu i wnuków, nawet jeśli synowa pozwala mi z nimi tylko spacerować, a i to rzadko. Kiedy jestem w domu, ona jedzie z dziećmi do paryskiego mieszkania. I tak się wymieniamy.

Synowa nie jest złym człowiekiem, ale bije od niej chłodem. I oczy ma jakieś takie dziwnie malutkie. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłam, od razu pomyślałam: „Jak ona cokolwiek widzi przez te szparki?”

Sił mam jeszcze dużo, mogłabym pracować i na emeryturze, ale syn mi zabronił.

– Odpocznij, mam – powiedział. – I tak poświęciłaś nam całe życie!

Przyjechałam do Paryża i przez kilka dni od rana do wieczora włóczyłam się po ulicach. Zapamiętywałam ich nazwy na niebieskich tabliczkach – piękne, jak wiersze! Vaugirard, Contrescarpe, Montaigne! Nie to co u nas: Smarowników, Fabryczna, Metalurgów. W dodatku ostatnio przy samym cmentarzu Szerokorzeczeńskim postawili nowe centrum handlowe Tęcza, a przystanek obok nazwali Radosny.

W Paryżu coś takiego byłoby nie do pomyslenia.

A jakie u nich, to znaczy, u nas – nijak nie mogę przywyknąć! – cmentarze! Oddałabym wszystko, żeby na takim spocząć. Już nawet synowi napomknęłam o Père-Lachaise, chociaż bardziej podoba mi się Passy, ale to już szesnasty *arrondissement*, tam to na pewno się już nie uda. Synkowi nie podobają się takie rozmowy, chociaż śmierć to całkiem naturalny temat w moim wieku.

– Tamaro Gawriłowno, mama wszystkich nas przeżyje – mówi synowa, ale takim głosem, jakby wcale jej to nie cieszyło. No nic, ożeni swojego synka i mnie zrozumie – a ja jej wtedy pomacham rączką gdzieś z Père-Lachaise. Bardzo podoba mi się ten cmentarz, miasto nagrobków. Lubię spacerować tam rankiem, kiedy nie ma jeszcze turystów, nie kartkują na każdym rogu swoich książeczek i nie pytają: gdzie Wilde, a gdzie Piaf? Na mogiłce Piaf czasami gra radyjko i ona śpiewa z niego tym swoim zardzewiałym głosem *Non, je ne regrette rien*. Radyjko włącza kobieta, która przychodzi tutaj posprzątać – tak jak ja do swoich, na Szerokorzeczeński. Przyglądam się jej i myślę: czy ona nie rozumie, że martwi potrzebują spokoju, a nie muzyki? Może Edith wcale nie chce słuchać swojego głosu stamtąd, spod ziemi?

Niektórym ludziom to jednak brak wrażliwości.

No więc podczas pierwszych dni w Paryżu wszystko zapamiętywałam i fotografowałam, a potem syn kupił mi książki i przewodniki, i różną literaturę. A ja jestem

takim człowiekiem, którego już od dzieciństwa ciągnęło do wiedzy, ale życie ułożyło się tak, że nie dane mi było jej zdobyć. Skończyłam tylko technikum, ale zawsze pracowałam sumiennie. Staralam się robić wszystko dla wszystkich tak, jakby to dotyczyło mnie. I teraz brzydzą się, kiedy widzę, że pracuje się bez szacunku do ludzi.

O Paryżu opowiadała mi w dzieciństwie pewna kobieta. Mieszkaliśmy na ulicy Narodnej Woli w komunalce i mieliśmy tam sąsiadkę, była nauczycielką języka francuskiego. Staruteńka, o ustach jak gdyby zaszytych zmarszczkami, a mówiła pięknie, składnie, ja do teraz tak nie umiem.

Pamiętam, był taki głodny, chłodny rok, miałam może z siedem lat. Mama poszła na nocną zmianę i zostawiła mnie z tą Ksenią Andriejewną. A Ksenia Andriejewna kompletnie nie umiała gotować, mama mówiła: „Ona tylko jedzenie marnuje”. Dlatego zostawiła nam jakąś kaszę. Pamiętam, że nie za wiele było tej kaszy. Ksenia Andriejewna miała taki dziwny zeszyt, jak gdyby w płóciennej okładce. Zapisywała tam coś szybkim pismem. Prowadziła dziennik po francusku. Ja jadłam kaszę, a ona – dziennik prowadziła. Szkoda, że się nie zachował.

Całe dzieciństwo mieszkała w Paryżu i wpoila mi przekonanie, jakie to cudowne miasto.

– Tamarko, przed panienką jeszcze całe życie – mówiła. – Proszę obiecać, że panienka kiedy odwiedzi Paryż! Niech panienka znajdzie tam, proszę, takie miejsce, jak plac Dauphine’a, stanie gdzieś trochę dalej od innych i powie cicho: „Ksenio Andriejewno, przyjechałam! Jestem w Paryżu!”.

A ja byłam jeszcze takim maluszkim, no, co to takiego – siedem lat? Obiecałam jej, że zrobię wszystko dokładnie w taki sposób.

I możecie się z tego śmiać, ale w pierwszych dniach mojego pobytu poszłam na plac Dauphine’a, odwróciłam się

do ściany, aby nie straszyc ludzi, i tak jak prosila, wyrecytowalam wszystko do ostatniego slowa. A potem czekalam jak idiotka, jakby mialo sie teraz cos stac, huknie grzmot albo zobacze Ksenie Andriejewna zywa, taka, jaka ja zapamietałam. Oczywiscie, nic sie nie stalo. To nigdy sie nie zdarza. W kazdym razie nie mnie.

Teraz, kiedy juz sama mam tyle lat co ona, wydaje mi sie, ze po prostu bardzo chciala, aby ktos zapamietal ja na cale zycie. Nie miala nikogo. W pokoju nad stolem wisiala fotografia dziecka w czapeczce, ale na drugiej stronie (pewnego razu podejrzałam) bylo napisane: „Misienka, 1911–1912”. To znaczy, ze ten Misienka umarl, bedac maluchem. Dlatego Ksenia Andriejewna byla taka samotna, jej czas mial i postanowila chociaz w ten sposob pozostac w mojej pamieci. I nie mylila sie. Ile rzeczy pozapominalam – a ja pamietam! Usta tak ruszaja sie przed oczyma – jak zywe. Zacerowane zmarszczkami.

A moze Misienka byla dziewczynka? W Paryzu byla kiedyś taka Misia Sert, czytalam o niej. Wplywala na wszystkich geniuszy, z ktorymi sie spotykala. Dedykowali jej rozne wiersze, muzyke, Renoir malowal jej portrety. W ksiazce znajdowaly sie fotografie tej Misi. Jesli powiedziec cos o niej w dwuch slowach, to byla kompletnie nieladna. U nas na Uralu w kazdej wsi sa dziesiatki takich. Mysle, ze podobala sie tylko dlatego, ze byla pod raka, męzczyzni generalnie nie lubia specjalnie daleko szukac. Wybieraja spośród tych, które sa w zasięgu wzroku.

A ja swojego meza wybrałam sama. Niech myśli, ze to on mnie zobaczył i pierwszy sie zakochal. Od razu go zauwazyłam, gdy tylko przyszedł do zarzadu fabryki. Zylismy dobrze, dlugo, wychowalismy syna, a potem on sie polozył i w minucie umarl. Tak wiec moge powiedziec: nie ma w zyciu niczego straszniejszego od tego, aby nie zdazyć odejść

jako pierwsza. Szczęście, że syn został ze mną i wyrósł na takiego pięknego człowieka.

W Paryżu jest mi bardzo dobrze. Szybko się go nauczyłam: takie nieduże miasto, kompaktowe. Języka też się uczę. Jak gdyby mi się przypominał, jakbym już kiedyś znała wszystkie te słowa. Nawet zaczęłam kartkować francuskie książki w sklepach i coś tam rozumiem. Mówię tylko to, co niezbędne: *bonjour, pardon, l'addition s'il vous plaît*.

– Jestem z ciebie dumny, mamó – powiedział mi niedawno syn.

Tyle wszystkiego dowiedziałam się o Paryżu! Tak dużo, że ciężko mi nosić w sobie tę wiedzę. Z przyjemnością podzieliłabym się nią, ale tylko z tymi, których by to interesowało. Przecież ludzie są różni i do Paryża przyjeżdżają wszyscy jak leci, a nie tylko mądrzy, dobrzy.

I jeśli oprowadzałabym wycieczki, to zaczynałabym nie od Notre Dame i nie od wieży, a od bazyliki Saint-Denis. Ona jakoś tak od razu dobrze nastraja. To grobowiec wszystkich francuskich królów. Niektórych, co prawda, wyrzucili stamtąd podczas rewolucji, ale potem paryżanie zebrali szczątki i znów je pochowali. Oni potrafią przyznawać się do błędów. I jeszcze taki jeden interesujący fakt: kiedy otwierali groby, wszyscy byli porażeni, ponieważ okazało się, że twarz Ludwika XIV jest całkowicie czarna i śmierdział on nie do opisania.

Mnie osobiście najbardziej ze wszystkich królów podoba się Henryk IV – jakoś od razu zrozumiałam, że był to mężczyzna z poczuciem humoru. Jak mój zmarły mąż.

Niektórzy królowie wyrzeźbieni są tam nawet z gołymi stopami. Leżą jak gdyby na swoich grobach, a w nogach mają pieski albo inne zwierzęta. Na twarzach wielu królów widnieje uśmiech, jakby podobało im się takie leżenie oraz to, że wszyscy na nich patrzą. Są też dziecięce nagrobki, jak

dla lalek. Strach pomyśleć, jak małe dzieci są tam pochowane. Jak Misieńka Kseni Andriejewny.

Po bazylice zaprowadziłabym swoich turystów do metra na stację Cité. Wtedy wreszcie można też pójść do Notre Dame i wyjść na nabrzeże; tam jest takie miejsce, z którego katedra wygląda dokładnie jak statek. Gdy zmrużysz oczy, wydaje się, że odpłynie razem z wyspą, w odwiedziny do wieży.

Potem moglibyśmy przejść mostem na wyspę Saint-Louis i zjeść lody w Berthillonie (moje ulubione – *cassis*, czyli o smaku czarnej porzeczki). A jeśli trafi się dobra grupa, będę im w międzyczasie opowiadać różne historie – znam ich bardzo dużo! Na przykład: niedaleko Notre Dame mieszkało dwóch ludzi, cyrulik i piekarz. Cyrulik zabijał żaków, którzy mieszkali u duchownych, i sprzedawał martwe ciała piekarzowi, a piekarz robił z ich mięsa pierożki i sprzedawał tym samym duchownym. Potem zbrodnie zostały wykryte i złoczyńców spalono. Chociaż może nie jest to najlepsza opowieść, jak to mama mówiła: „Nie przy jedzeniu”. Wtedy mogę przytoczyć inną, o świętej Genowefie albo o świętym Dionizym, który szedł ze swoją odciętą głową w rękach całe sześć kilometrów!

Następnie przeprowadziłabym wszystkich na lewy brzeg, a tam poszlibyśmy przede wszystkim do ogrodu Luksemburskiego. Całą grupą wzięlibyśmy krzesła i patrzylibyśmy na posągi królowych.

Jeżeli chodzi o muzea, to trzeba by się dobrze zastanowić. Wojskowi zechcą pójść do Domu Inwalidów. Lekarze – do Muzeum Rodina, podoba im się, jak w jego rzeźbach naprężają się mięśnie, niczym żywe. Podśluchałam raz rosyjskiego chirurga, który zachwycał się *Mysłicielem*, i pytał wszystkich, gdzie jest wystawiony *Człowiek ze złamanym nosem*. Luwr lubią wszyscy, ale Pompidou nie jest już dla

każdego. Mnie taka architektura, która wszystkie bebechy ma na wierzchu, niezbyt się podoba. A obrazy w środku też nie należą do najprzyjemniejszych.

Tak, dużo wiem o Paryżu. Szkoda, że nikt nie zatrudni mnie jako przewodnika. Syn dowiadywał się, że do tej pracy potrzebne jest specjalne wykształcenie.

Moje marzenie nigdy się nie spełni. Ale to nic! Co prawda dalej nie rozumiem, po co jest mi potrzebne specjalne wykształcenie, jeśli mogę nawet pokazać miejsce, gdzie znaleźli głowy królów z Notre Dame. Statuy zrzucili w czasie rewolucji, a potem całkiem przypadkowo znaleziono głowy w trakcie budowy na prawym brzegu. Było to w 1997 roku, dokładnie w roku narodzin mojego synka.

Widzicie, pamiętam wszystkie daty, a co najważniejsze – tak bardzo kocham Paryż!

Kiedy zrozumiałam, że nie zostanę przewodnikiem, zaczęłam patrzeć na turystów trochę innymi oczyma. Zrozumiałam, że niezbyt ich lubię, i nie podoba mi się, że milionami najeżdżają moje miasto. Nawet zaczęłam odczuwać w stosunku do nich pewną niechęć, szczególnie kiedy robili sobie zdjęcia na tle wieży, udając, że trzymają ją za czubek dwoma palcami.

A na cmentarzach całkowicie przestałam ich znosić!

Synek mówi:

– Może zazdrościsz, mamó? Może nie chcesz dzielić się swoim Paryżem z innymi?

Na początku zaprotestowałam. A potem, już nocą, zaczęłam myśleć. Może faktycznie zazdroścę? Kocham Paryż jak człowieka, a kiedy kochasz człowieka, nie obejdziesz się bez zazdrości. Żyłam z mężem bardzo dobrze, ale zawsze byłam o niego zazdrosna, sprawdzałam jego kieszenie i wąchałam kołnierze koszul.

A tutaj nie jednego człowieka, a całe miasto kontrolować nie każdy da radę.

Ale sił mam jeszcze dość. I dokładnie pamiętam, kiedy pierwszy raz zrobiłam to, co robię dzisiaj każdego dnia, jak pracę, którą trzeba wykonywać sumiennie.

Pierwszy raz był, kiedy na Père-Lachaise podeszły do mnie dwie dziewczyny w podartych jeansach. Jedna pyta takim kulawym francuskim:

– *Excusez-moi, madame*, gdzie leży tutaj taki piosenkarz Jim Morrison?

Bardzo dobrze pamiętam jego grób – zawsze jest przy nim mnóstwo ludzi, czasami gra też muzyka i niektórzy nawet wyrzaskują teksty piosenek. Stałyśmy z tymi dziewczynami niedaleko, obok malarza Géricaulta, i od razu wyobraziłam sobie, jak zaczną teraz robić zdjęcia telefonami i wykrzywiać się. To były Rosjanki, od razu zauważyłam – tylko my, Rosjanie, zawsze mamy takie twarze, jak służbiści. Nawet najmłodsi.

Nic nie wiem o tym Jimie, ale zdaje się, nie miał żadnego związku z Paryżem. A Géricault – tak. W Luwrze zawsze oglądałam jego obraz *Tratwa Meduzy*. Lubię takie obrazy, kiedy patrzysz, a wewnątrz wszystko drży! Nie to, co w Pompidou. Wyleją wiadro farby na płótno, przykleją z góry jakieś włosy i proszę, oto sztuka!

Krótko mówiąc, z uprzejmym wyrazem twarzy odprawiłam te dziewczyny w całkowicie inną stronę, do pisarza Prousta.

W środku poczułam się przez to tak dobrze! Przyjemnie było patrzeć, jak idą nie tam, gdzie chcą, błędzą, płaczą się, iryтую.

W ten sposób zaczęłam ukrywać Paryż przed turystami, ponieważ tyle o nim wiem, a okazuje się, że cała ta wiedza nie jest nikomu potrzebna. Nawet synowa zwróciła mi

szorstko uwagę, abym nie zawracała wnukom głowy tymi bajkami. A przecież opowiadałam im tylko o zdobyciu Bastylii.

– Tamaro Gawriłowno, i tak im dużo zadają. Niech lepiej latem odpoczną, pobiegają.

No tak, niech biegają, oczywiście. Synowa wie lepiej. Od tej pory postanowiłam milczeć i nawet jeśli mnie pytają, celowo wprowadzam ich w błąd.

W metrze często ktoś do mnie podchodzi. Mam sympatyczną twarz, mówią, że dobrą. Syn uważa, że jestem podobna do jakiejś emerytki z serialu o zabójstwach.

Pytają, jak dojechać do zamku Vincennes. Wiem, jak dojechać. Wiem nawet, że w kuchni tego zamku ugotowali angielskiego króla, ponieważ umarł i Anglicy nie wiedzieli, jak zawieźć go do ojczyzny, żeby się nie zepsuł. Wiem, ale wskazuję niewłaściwą stację i gołąbeczki odjeżdżają do La Défense. W przeciwną stronę.

Pytają, gdzie jest kolejka, żeby wjechać na Montmartre? Wskazuję im całkowicie inną drogę – idą, nieszczęśliwi, jak święty Dionizy z głową w rękach, coraz dalej i dalej od kolejki. Ogólnie ludzie zawsze bardzo łatwo tracili głowy w Paryżu. I święty Dionizy, i król z królową na gilotynie, i ci kamienni królowie z Notre Dame...

O wiele rzeczy mnie pytają, a ja zawsze z uprzejmą gotowością odpowiadam.

I nie, nie jest mi wstyd. Uważam, że Paryż otworzy się sam przed każdym, kto na to zasługuje i prawdziwie go kocha. A jeśli się nie otworzy, to znaczy, że nie należy tu wracać. A oni i tak ciągną jak muchy do miodu.

Ja, na przykład, byłam w innych miastach. Synek zawiózł mnie do Londynu pociągiem. Od razu go nie polubiłam, tego Londynu, tam wszystko jest nie tak jak u ludzi. Jakiś taki duży jest i na schodach w metrze pierwszego dnia

o mało co mnie nie przewrócili – nie tylko jeżdżą nie po tej stronie, oni i chodzą tak samo! Nie, dziękuję, więcej do Londynu nie pojedę.

Będę mieszkać w swoim Paryżu i wyuczę się go na pamięć, tak jak moja babcia znała na pamięć psalterz. I chociaż nigdy jej się to w życiu nie przydało, zawsze bardzo się tym chwaliła.

A ja, jeśli czymś będę się chwalić, to właśnie tym, że mieszkam w takim mieście.

Ono jest najukochańsze ze wszystkich.

Mój i tylko mój Paryż.

przełożył Patryk Zielonka